

The book cover features a textured, light-colored background. At the top center is a large yellow planet with a white ring. To its left, a small grey rocket is shown in flight. Below the planet, the title is written in a bold, dark red font. The word 'wina' is significantly larger than the others. On either side of the text, a vertical splash of red wine flows downwards from the top, ending in two dark wine bottles at the bottom. The bottle on the left has a yellow logo. Three small yellow rocket icons are scattered in the lower half of the cover.

Mołdawianie

W KOSMOS NIE LIETAJUT

BIEZ **wina**

Judyta Sierakowska



Bezdroża

Autorka tekstu i fotografii: Judyta Sierakowska

Redaktor prowadzący: Maciej Żemojtel
Redakcja i korekta: Firma AB Agnieszka Bąk
Redakcja techniczna: Katarzyna Leja
Projekt okładki: ULABUKA
Zdjęcia na okładce: Shutterstock.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autorka oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autorka oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 2309863
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:
<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bemold>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I
ISBN: 978-83-246-8514-1

Copyright © Judyta Sierakowska, 2014
Copyright © Helion, 2014

- | | |
|---|--|
| <ul style="list-style-type: none">•Kup książkę•Poleć książkę•Oceń książkę | <ul style="list-style-type: none">•Księgarnia internetowa•Lubię to!Nasza społeczność |
|---|--|

Wracaliśmy z Olegiem ze szkoły, nierównym chodnikiem, właściwie po omacku.

– Pani Judyto, ja mam takie pytanie do pani?

– Tak?

– Tylko niech pani nie pomyśli, że ja coś złego myślę, ale po co tu pani przyjechała?

O mało nie potknęłam się na ciemnej drodze.

– Przecież tu nic nie ma – dodał Oleg.





MILEȘTII MICI – FONTANNY Z WINEM



Mołdawia to kraj o kształcie kiści winogron. Ten kształt zobowiązuje. Oprócz północnej, nieco chłodniejszej części, na terenie Mołdawii ścielą się winnice, które zajmują aż 10 procent republiki! Wytwarza się tu kilkadziesiąt różnych rodzajów win i szampana. W drugą niedzielę października wszyscy zjeżdżają się do większych miast na Narodowy Dzień Wina. Odbywają się tam huczne imprezy ku czci Bachusa.

Kiszyniów pięknieje raz w roku, wtedy to ulicami stolicy Mołdawii idą wielkie kiście winogron, ogromne butle wina, szampana, tysiące ludzi paraduje za flaszkami i z flaszkami. Dziesiątki, setki wystawców z całego kraju rozstawiają się na poboczach ulic. Stragany, butelki, kielichy, wino, rwetes, pijatyka! Są przedstawiciele i przysmaki największych gorzelni Mołdawii, są i gospodarze, którzy w swoich domach robią wino. Bo tutaj każdy dobry gospodarz ma obowiązek robić wino i nie marnować zbiorów, a im lepsze wino zrobi, tym większy podziw całej wsi i uznanie.

W tym roku zapowiadało się, że z powodu kryzysu parady winne nie będą tak spektakularne, właściwie stały pod znakiem zapytania.

Nie czekając na bieg wydarzeń, wzięłam plecak, aparat i ruszyłam do najpiękniejszej mołdawskiej winiarni, do Mileștii Mici – dosłownie „małego Mileștii”. Miałam wprawdzie do wyboru jeszcze Cricovię czy Brănești, ale to Mileștii Mici skusiło mnie. Nie tylko widokami po drodze i słynnymi fontannami, z których leje się czerwone i białe wino. Winnica Mileștii Mici nazywana jest „podziemnym królestwem wina”. To tylko wioska, a w swoich podziemiach mieści największy kompleks winny na świecie – 250 km piwnic wydrążonych w miękkim wapieniu!

W 2007 roku Mileștii Mici z dwumilionową kolekcją win zostały wpisane do *Księgi rekordów Guinnessa*.

Poza tym sama nazwa – Mileștii Mici! Czyż ona nie brzmi pięknie? Przypominała mi też inną, mołdawską nazwę, kielbasek z mielonego mięsa z czosnkiem – *mititei* (lub *mici* – wym. miczi). Słyszycie to? Kanapka z mititei-miczi, popita winem z Mileștii Mici. *Poftă bună!* Mniam!

Słońce prażyło od rana, już jesienne, a jeszcze mocne. Tak że wystarczyło chwilę zawadzić w ciemnych okularach o nie wzrokiem, by potem przez dobrych kilka sekund przed oczyma sterczała wściekle czerwona plama. Powietrze lekko drżało od temperatury i bezwietrznej pogody.

Marszrutką wyjechałam poza miasto na wylotową na Hincești, bo to przez nie jechało się na Mileștii. Kierowca wysadził mnie, pokazał palcem stary, rozwalający się autobus i zapewnił, że dojadę nim tam, gdzie chcę.

Komunikacja jest tania. Jazda marszrutką po mieście to 2–3 leje za przejazd; 1 lej to około 25 groszy. Dodatkowo 5 czy 6 dałam za przejazd z Kiszyniowa do Mileștii Mici. Autobus był stary, biało-niebieski i zipał jak stara lokomotywa. Środek dnia, ludzie wracali z targów, zakupów, nocnych zmian, zmęczeni, spaleni słońcem.

Nikt nie wiedział, o której ruszy autobus, ale wcale mnie to nie zdziwiło, tu nikt nie wie, o której cokolwiek odchodzi, zaczyna się czy kończy i czy w ogóle będzie otwarte.

Pojazd miał rzadko porozstawiane siedzenia. Sporo było ich z tyłu, ale sam środek z pojedynczymi. Jedno z krzeseł miało lewą nogę drewnianą, a wyglądała na trwalszą od tych metalowych.

Siadłam wygodnie i wystawiłam twarz do słońca. Mały Mołdawianin z czarnymi lokami smyrał mnie po kolanie miśkiem. Widocznie chciał zadzierzgnąć kontakt. Po 10 minutach od chwili gdy zajęłam miejsce, autobus zatrzęsł się, zacharczał, potrząsał wszystkimi pasażerami i siedzeniami i, o dziwo, całkiem żwawo ruszył.

Krajobraz był wczesnojesienny, tutaj nawet późnoletni. Przy drodze stali handlarze arbuźów, sprzedawcy dyń i stare kobiety z wnukami. Ot tak, żeby pomachać przejeżdżającym. Pola, pola, pola, już wysuszone. Na niektórych zachowały się jeszcze słodkie, sprażone słońcem kiście winogron. Pola tabaki miały się jeszcze całkiem dobrze, a trawa kawałkami zielona, pasmami wpadająca w kanarkową żółć, jak gdyby jeszcze nie zdecydowała, do jakiej pory roku należy.

Kup książkę

Poleć książkę

Kierowca krzyknął: „Mileștii Mici!”

Wyskoczyłam z autobusu. Krajobraz nie jawił się tak bogato, jak się spodziewałam po tak słynnych winnicach. Zobaczyłam tylko parę chat, studnię, jedną zarośniętą dróżkę, drugą wysuszoną, piaszczystą, prowadzącą nie wiadomo dokąd, i kozę! Zameczczała i tyle było rozmowy.

Przy domach nie było nikogo, by zapytać jak iść. Ruszyłam przed siebie. Gdzieś na horyzoncie rosły dachy domów. Przeszłam kilka kilometrów polami i sadami. Pojawiły się pierwsze domki, potem kolejne i kolejne. Na środku wioski było coś na kształt ronda, a właściwie zakole, gdzie była duża, zdobiona studnia. Napiłam się z niej wody, zamoczyłam twarz. Obok mnie siedziało dwóch, na oko ośmiolatków. Postawili obok studni kolorowe, szkolne plecaki i chlustali na siebie wodą. Pomyślałam: „mój ratunek”, zaraz wskażą mi drogę do winiarni. Zagaiłam. Przerwali zabawę i patrzyli na mnie zdziwieni. Rzuciłam jeszcze kilka zdań po rosyjsku, ale im ich oczy robiły się większe, tym i ja bardziej byłam zdziwiona, o co chodzi.

Nagle na plecach poczułam czyjś wzrok. Przy studni stał dobrze zbudowany, porządnie opalony gospodarz z wąsem. Podeszłam do niego. Przywitałam się i zapytałam o fabrykę win. Pokręcił głową, pomachał łapami wielkimi jak bochny chleba, zaświergotał coś po rumuńsku, a ja dalej nie wiedziałam, gdzie mam iść. Zapytałam raz jeszcze o to samo, tyle że teraz to już był tylko wywód po rumuńsku. Przerwałam mu monolog, podsuwając zdjęcia fontann z winzawoda. Sądziłam, że to załatwi sprawę. W końcu zdjęcia słynnych fontann obiegły dobre pół świata, a skoro mieszka się tam, gdzie one są, to trudno uchować się bez słyszenia o nich. A jednak się da. Krępy, ciemnowłosy Mołdawianin bezradnie rozłożył ręce. Wtedy zupełnie od czapy zapytałam tego wiejskiego chłopinę po angielsku: „Gdzie jest fabryka wina?” I co się stało? Odwrócił się, wyciągnął rękę, wysunął wskazujący palec i ładnym rosyjskim powiedział, że to za wioską, i trzeba daleko iść. Nagle odzyskał mowę. Odzyskał rosyjski. Odzyskał tylko dlatego, że przestałam mówić do niego w tym języku!

Musiałam wrócić do punktu wyjścia, czyli tam, gdzie wysiadłam, a nawet dalej. Ruszyłam z powrotem. Chciałam zatrzymać jakieś auto, ale nic nie jechało. Szłam na czuja, na ukos, przez pola. Przedemną ścieliły się hektary z wysuszonymi krzakami winogron. Taaak!!!! Przecież to oczywiste! Do fabryki win trzeba iść przez pola z owocami, z których się je robi!

Kup książkę

Słońce nadal bezlitośnie piekło w twarz. Podwinęłam nogawki i rękawy. Suche krzewy winogronowe z wypłowiałymi liśćmi nieśmiało pięły się na drutach naciągniętych na betonowe pale. Było już po zbiorach, ale na pojedynczych krzakach wisiały jeszcze słodkie, nasłonecznione, podsuszone kiście. Twarde grona, z chrupką skórką nadgryzione tryskały słodkim, orzeźwiająjącym sokiem.

Położyłam się na dróżce i przytuliłam twarz do nagrzonej trawy. Pachniała ziemią, która od wielu dni nie zaznała wilgoci. Mimo trwającej od wielu dni suszy trawa była miękka i delikatna. Słońce w kolorze miodu gryczanego ciągle ciemniało. W końcu słoneczna, już ciemnoherbaciana kula ruszyła na zachód.

Po jakichś trzech kilometrach pojawiła się ulica, a przy niej ogromne, murowane bramy. Tak, to były kolejne bramy do wjazdu do podziemi Mileștii Mici.

Mężczyzna pilnujący głównego wejścia do królestwa wina z rosyjskim nie miał żadnego problemu. Niepytany podbiegł do mnie i objaśnił, co gdzie jest, i podkreślił, że najważniejszy to ten sklep z winami, bo mogę kupić wszystko, czego dusza zapagnie. Zapomniał dodać, że pod warunkiem, że będzie to wino, ale kto by się tam czepiał miłego faceta, która obdarza uśmiechem białych zębów i jednego złotego. Zajął się oglądaniem fontann, a ten jeszcze z daleka krzyczał za mną: „dziewuszka, ten sklep, to tam daaaaaalej!”

Fontanny były dwie, jedna z winem czerwonym, druga z winem białym. Na samej górze każdej z nich była wielka, piękna beczka, z której „wino” (farbowana



Fontanna z winem

Poleć książkę

woda) spływało do wielkich flaszek, a z nich do jeszcze większych szklanych kielichów. Z nich i rozłożonych glinianych dzbanów „wino” spływało po skałach do czerwonego lub białego źródła.

Przy fontannach stała biała, długa limuzyna z balonami, a fotograf robił sesję nowożeńcom i ich świadkom. Ci biegali od fontanny do fontanny. Pan młody podtrzymywał welon ukochanej, a ona falbany swojej sukni.

Cały budynek fabryki jest w kamieniach i marmurach. Wnętrze sklepu zajmują urodziwe flaszki, które stoją na imitujących krzewy winogronowe stojakach, na marmurowych półkach w ścianach, na wyżłobionych specjalnie dla nich miejscach. Drogę do kolejnych i kolejnych butelek oświetlają żyrandole o kształcie kiści winogron. Na ścianach freski, żłobienia, pod szklaną podłogą widnieją stare naczynia do produkcji wina. Tu na półkach leżą obok siebie nowoczesność i tradycja. Wina słodkie, wytrawne, czerwone, białe, różowe, musujące, stare butelki seniorzy, którym należy się szacunek i młode, znacznie tańsze wino, którego zadaniem jest dać się posmakować i szybko wprowadzić w stan nieważkości. Są butelki z tradycyjnymi pieczęciami dodającymi im szlachetności i nalepkami z nazwą, w skrzynkach, w drewnianych podstawkach, w foliowych szlafrokach. Chłodne podziemne alkoholowe jaskinie o zapachu dębowych beczek, kurzu i napitków. Chłodne muśnięcie Bachusa.

Wizytę w podziemiach dobrze zamówić wcześniej. I dobrze mieć samochód. Na szczęście udaje mi się wcisnąć do auta bogatych „nowych Ruskich”, którzy przyjechali swoimi pojazdami i mieli wolne miejsce. Byli tak nawaleni, że właściwie nie wiem, po co im była jeszcze wizyta w podziemiach, ale przecież byli moimi wybawicielami. Na pytanie, „czy zabiorą mnie ze sobą?”, kiedy jeszcze nie dokończyłam pytania, wielki jak dąb Rosjanin wziął mnie na rękę i powiadomił resztę: „Dziewuszka jedzie z nami!”. Reszta ucieszyła się, że im więcej, tym lepsza zabawa, i ruszyliśmy!



„Monopolowy” w Mileştii Mici

Mileştii Mici to podziemne miasto, z własnymi ulicami, tyle że te nie noszą nazw znanych pisarzy, polityków, artystów, działaczy, ale szczepów winogron! I tak spokojnie wjeżdżamy w ulicę „Cabernet”, zbieramy zakręt i jest „Savignon”, chwilę dalej „Merlot”, „Pinot”... Są i młode flaszeczki i stare, dumne butle pokryte kurzem i pajęczynami. Mijamy podziemny wodospad spływający z kamiennej ściany – podobno woda z niego służy do obmywania beczek. Na koniec podziemnej wycieczki czeka degustacja w specjalnych salach z wielkimi żyrandolami, stołami i krzesłami. Po królewsku. Dosłownie. Choćby wino „Negru de Purcari”, które Mołdawianie nazywają „Królową angielskich win”. Dlaczego? Elżbieta II tak upodobała sobie rocznik 1990, że pałac Buckingham regularnie zaopatruje się w ten trunek.

I co? I było kulturalnie. Zaprawieni w boju Rosjanie sprawowali się jak grzeczni gimnazjaliści. Fakt, byli głośni i śpiewali, ale nikt nie wołał o łazienkę, nikt nie miał niestrawności, nikogo nie mdliło, nikt nie wymiotował. A przecież to nie takie oczywiste – piwnice Mileştii Mici i Cricovii zwały już mnóstwo zagranicznych gości: nasz Aleksander Kwaśniewski choćby, który w 2003 roku był bardzo kontent z wizyty i ba! Wysłała mu ona na zdrowie. W odróżnieniu od Julia Iglesiasa, który trochę się przeliczył. Na tyle, że rozczarowana mołdawska publika żądała zwrotu pieniędzy za koncert! Jak widać, Włosi są tylko głośni, a mocne głowy mają ci ze Wschodu.

Ciężki od ciężaru butelek plecak wyznaczył koniec wycieczki i czas na powrót. Najpierw pół kilometra krętą zadrzewioną drogą, z którą sąsiadowały bramy prowadzące do podziemi z beczkami. Potem kilometr z hakiem ulicą, z którą jeszcze niedawno sąsiadowały łąny zbóż, a potem droga spotykała się z kolejną, i na tym skrzyżowaniu stało kilka osób. Jak tak parę osób w jednym miejscu stoi bez wyraźnego celu, to ni mniej ni więcej oznacza to, że to jest przystanek, a oni czekają na marszrutkę. Kiedy owa dojedzie, trudno dociec. Ludzie stąd stają pi razy oko. Wiedzą, że gdzieś z daleka i mniej więcej o tej i o tej przejeżdża i przez ich miejscowość. Zwykle nie mają przy sobie nawet zegarka. Tu czekanie na marszrutkę wpisane jest w życie i nikt się temu czekaniu nie dziwi.

– Na Kiszyniów? – zapytałam tylko dla pewności. No i już staliśmy po stronie drogi wiodącej do stolicy Mołdawii, o jednego człowieka więcej. Bus się nie spieszył, więc siadłam na trawie i zaczęłam badać mapę. Jakaś babcia mołdawska



Kup książkę

Poleć książkę

zlustrowała mnie wzrokiem, zaszczębiotała po rumuńsku i wygrzebała z kieszeni cukierka i wepchnęła mi go do ręki.

– Mulțumesc! – dziękuję – odpowiedziałam po rumuńsku, bo to jedno z niewielu słów, które w tym języku znałam.

Coś mi zaczęła pokazywać na mapie, wyrzucając z siebie słowa z szybkością kałasznikowa. Była tak zaangażowana w objaśnianie mi topografii Mołdawii, że nawet nie próbowałam jej tłumaczyć, że jej nie rozumiem. Bębniła palcem w Orhei i zrozumiałam, że jak coś ciekawego mam zobaczyć, to tam. Z nerwem puknęła też palcem w Naddniestrze i zrobiła minę mówiącą jedno: „chodzące zło!”

Smoktałam babciną landrynę i patrzyłam na starą kobietę, jak wodzi palcem po mapie, i choć przyglądała się jej do góry nogami, to w tym momencie nie miało większego znaczenia. Znała atuty kraju, znała też jego słabe punkty i żadna mapa nie mogła tego zmienić.

Po około dwudziestu minutach dało się słyszeć rżężenia nadjeżdżającego, zrytego na mołdawskich drogach mikrobusa. Jakiś facet w średnim wieku chwycił mój plecak. Babcia pokazując na niego, znowu zaczęła coś tłumaczyć. Wynikało z tego, że to jej krewny, może i syn. Jego wygląd na to by wskazywał i skoro ona już się ze mną zaprzyjaźniła, to dlaczego on nie miałby ponosić mój plecak.

Mimo że miejsc było mniej niż chętnych na nie, gdy wgramoliłam się do marszrutki, mój plecak dumnie sterczał na pierwszym siedzeniu. Krewniak babci szybko zdjął go z siedzenia i wskazującym ruchem ręki zachęcił do siadania. Sięgnęłam po plecak, ale pokazał, że będzie go trzymać, bo mi będzie za ciężko. Chciałam ustąpić miejsca babci, ale widocznie popełniłam tutejsze *faux pas*, chcąc oddać coś, co było zarezerwowane dla mnie. Rozległy się krzyki, babcia zaczęła protestować, machali nade mną rękami, więc choć czułam się niezręcznie, że staruszka stoi, gdy ja siedzę, podziękowałam tylko, a oni odwdzięczyli się uśmiechami.

Mieli duże, spracowane dłonie i dobre, szczerze, brązowawe od słońca twarze, i dużą dozę gościnności dla obcych, graniczącą z szacunkiem.

Butelki z Mileștii Mici przydały się na wieczór. Dwa dni po chłopakach nawiedziły nas same dziewczyny. Wieczór urozmaiciliśmy sobie zabawą, która polegała na

Kup książkę

tym, że każda z osób po kolei mówi: „nigdy w życiu...”, a ci, co robili, spróbowali tego, czego ta osoba nigdy w życiu nie robiła, wypijali kolejkę.

Tak! Tak! To znowu spotkała się inteligencja...

Zaczęło się od bzdur, że ktoś nigdy nie płynął statkiem, ktoś nigdy nie skakał ze spadochronu, czy nigdy nie jadł krewetek (ten moment, o dziwo, wywołał burzliwą dyskusję i uświadamianie Marijce, że na pewno jadła krewetki, tylko nie miała pojęcia, że się tak nazywają; w końcu w Mołdawii są na każdym kroku). Potem sprawnie przeszliśmy do tematu „morze”..., czyli życia seksualnego. I było „nigdy w życiu...” i już wszyscy wiedzieli, kto uprawiał seks oralny z kobietą, a kto z mężczyzną, jak było z seksem grupowym, kto zdradził, a kto nie, kto lubi, gdy się go bije, a kto komu płaci za drobne, fizyczne przyjemności.

David zakrztusił się wódką wychylając swoją kolejkę po słowach lesbijki, że nigdy nie uprawiała seksu analnego. Jedna z dziewczyn spojrzała groźnie na koleżankę o tej samej orientacji, która piła kolejkę po zdaniu o seksie z mężczyzną.

– Nigdy w życiu nie uprawiałam seksu grupowego – powiedziała Masza.

Trzy osoby wychyliły swoje kieliszki, w tym ja. Reszta przerwała milczenie: „Aaaa możecie zdradzić jakieś szczegóły, jak, z kim???” – dopytywali.

– Tak, mogę, dwa człowika i krewetka! – odparowałam z poważną miną.

Z werandy przenieśliśmy się do kuchni i potem już było tylko gorzej, bo rzecz tyczyła i tego, kto próbował popełnić samobójstwo, i kto kiedy ostatnio się masturbował. W oparach dymu z papierosów, którego tylko ja nie produkowałam, atmosfera była jeszcze bardziej gęsta i trudna do wycucia.

Niektórzy byli obruszeni, bo się nagle dowiedzieli na forum publicznym o czymś, czego lata całe nie wiedzieli przyjaźniąc się z tą osobą. Bliskim znajomym, a już z pewnością parom tej gry nie polecam. Jak już czegoś nie wiedzą o sobie, to niech tak zostanie. Zabawa staje się zbyt poważna, a brudy są publicznie wyciągane.

Geje i lesbijki nie mają w Mołdawii zbyt różowo. Nie mają własnych klubów. O ile nie napotkają gdzieś przy okazji wspólnych działań międzynarodowych organizacji zajmujących się mniejszościami seksualnymi, to raczej żyją w ukryciu. Nawet w stolicy.



Poleć książkę



DZIEWUSZKA CIN CIN – MARSZRUTKI

– W marszrutce każdy pomaga drugiemu. Ostatnio trzymałem na kolanach czyjeś dziecko – mówi David.

Tak, tak, jazda marszrutką to rodzaj chrztu bojowego. I trzeba go przeżyć, bo każda najmniejsza wyprawa kończy się korzystaniem z jej usług. Wsiadając do marszrutki na chybił trafił, można całkiem dobrze poznać miasto, i lepiej się na tym wyjdzie, niż planując podróż. Jeśli jest przystanek, to nie ma nazwy, a gdy mały, zwinny busik rwie przed siebie, jedni wsiadają, drudzy wysiadają, około dwudziestu spoconych osób prowadzi ciągłą migrację, to zorientowanie się, gdzie się obecnie przebywa, graniczy z cudem.

W tym momencie należy co nieco napisać o marszrutkach i zasadach jazdy, bo bez tego w Mołdawii ani rusz. Marszrutka bowiem to w krajach byłego ZSRR główny środek lokomocji zarówno miejskiej, jak i międzymiastowej. Właściwa nazwa to *marszrutnoje такси*, co dosłownie oznacza „taksówkę poruszającą się po ustalonej trasie (marszrucie)”*. Marszrutka to taki nasz mikrobus z kilkunastoma miejscami siedzącymi. Pierwsze pojawiły się w 1930 roku w Moskwie, a prawdziwy boom marszrutkowy nastąpił w latach 90. (kiedy u nas kwitło disco polo). Za rozkwitem transportu marszrutkami stanęła gospodarka rynkowa – państwowy transport miejski okazał się niewydolny, więc z nadarzającej się okazji skorzystali prywatni przedsiębiorcy, oferując usługi przewozowe obywatelom. Po ulicach krajów byłego ZSRR zaczęło jeździć coraz więcej busów typu Ikarus, LAZ, PAZ, RAF czy KAwZ.

* za: http://ru.wikipedia.org/wiki/Маршрутное_такси (j. ros.)

Jednak hitem okazały się wprowadzone pod koniec lat 90. Gazele – tanie w eksploatacji, do tego bez trudu można było je tak przerobić, by jeździły na gaz, i były łatwe w naprawie.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat i biznes przejęły głównie duże firmy, bo władze miejskie wyczuły interes i zaostrzyły przepisy bezpieczeństwa, a nawet zaczęły przyznawać pozwolenia na dane trasy – im bardziej uczęszczana, tym samym bardziej lukratywna, to i opłata dla przewoźnika większa. W ten sposób wyeliminowano wielu kierowców działających na własną rękę.

Co istotne, marszrutka będąca w trasie zatrzymuje się na każde żądanie pasażerów! Gdy chce się wsiąść, wystarczy zamachać. Gdy chce się wysiąść, wystarczy krzyknąć do kierowcy. Żadnej zabawy w zbędne przystanki i trzymania się rozkładu jazdy.

Bywają zabawne przypadki, gdy wsiada się na stacji początkowej, wtedy czeka się aż wszyscy zajmą miejsca, a na pytanie „kiedy odjeżdżamy?”, kierowca nawet nie odpowiada! Dlaczego? Bo panuje zasada, że musi się zebrać odpowiednia liczba osób i wtedy bus rusza. Proste. Czas odjazdu obowiązuje właściwie tylko w przypadku, gdy marszrutki startują z dworców autobusowych. Ale tu i tak kwadrans obsuwu to norma, albo wcześniejszy odjazd, kiedy jest wypełniona pasażerami. Zresztą pytanie o odjazd zadają tylko obcokrajowcy. Czekanie i niespieszenie się jest wpisane w naturę mieszkańców byłego ZSRR. To tylko Zachód ciągle gdzieś gna.

W przeciwieństwie do osobowych taksówek, w których o cenie decyduje taksometr, w marszrutce koszt biletu jest stały, i znacznie niższy niż w taksówce, zbliżony do tego w zwykłym miejskim autobusie.

Nie trzeba się też martwić, czy w nadjeżdżającej marszrutce znajdzie się miejsce. Jeszcze nie spotkałam kierowcy, który by powiedział, że nie ma miejsca. „Upychanie” na stojąco to norma. U nas podniesiono by alarm o kwestie bezpieczeństwa, tutaj uznano by to za zwykłą głupotę.

Podróż po mieście jest szybka. Lokalni *woditiele* nie kierują się zasadami ograniczenia prędkości.

Prawdziwa zabawa zaczyna się na dłuższych trasach, kiedy to marszrutki odjeżdżają z dworców. W tym przypadku, gdy już bus jest pełen pasażerów, kierowca robi rundkę między nimi i konfiskuje zapłatę za przejazd. Gdy po drodze ktoś dosiada się, działa zasada płacenia jak po mieście – podajesz pieniądze sąsiadowi

z przodu, a ten następnym i tak trafiają do kierowcy. Reszta wraca tą samą drogą. Jazda po Kiszyniowie to koszt 3–4 lei. Bez względu na to, czy jedzie się przystanek, dwa, czy na drugi koniec miasta, każdy płaci tyle samo.

Dobrze zorientować się wcześniej, o której odchodzi marszrutka, by być wcześniej co najmniej 15 minut i zająć miejsce. Ten, kto przychodzi o czasie, co najwyżej może liczyć na miejsce stojące, bo bus jest już wypchany pasażerami. Jeśli nie wysiadamy na głównym przystanku, to na wstępie informujemy, że chcemy wysiąść w jakiejś wiosce.

Ostatnie marszrutki z dworców odjeżdżają około 16.00. Późniejsze godziny są zarezerwowane na trasy bardziej oblegane. Kto nie zdąży, wychodzi na wylotówki prowadzące do największych miast i łapie stopa. Płaci się za niego, więc zawsze znajdzie się ktoś, kto podrzuci, a przy tym sam zarobi.

Z przedmieść chcę dojechać do domu. Znajduję tzw. zajezdnię marszrutkową – stoi kilka marszrutek, a obok nich kierowcy. Mężczyźni przypalają sobie przed odjazdem. Pytam jednego z nich, którym numerem dojadę na rondo 40-lecia, wskazuje mi marszrutkę nr 100. Wsiadam do jeszcze pustej setki, przybywa pasażerów. Mikrobus rusza. Kierowca rwie jak oszalały, zjeżdża z głównej i mknie bocznymi, maleńkimi uliczkami, co chwila hamuje tak, że połowa jadących przygniata tych, którzy stoją i tak przytuleni do przedniej szyby. Ktoś krzyczy, ktoś komuś ustępuje miejsca! Wsiadający próbują przepchać się na tył, potem wręczają siedzącym lub stojącym pieniądze, ci z kolei podają je kolejnej i kolejnej osobie, a ta kierowcy. Reszta wraca tą samą drogą. Rwetes jak w kurniku przy wizycie lisa. Kierowca nie zatrzymuje się, zmienia biegi, naciska gaz, segreguje leje w szufladce. Nie

ma przystanków, ludzie doskonale znają trasę przejazdu busa i machają kierowcy po drodze. Wszyscy sprawnie zajmują miejsca. Nawet staruszki chyżo wsiadają. Trwa to dosłownie ułamki sekund. Kto opóźnia jazdę o kilka dodatkowych, jest popędzany i przez kierowcę, i przez pasażerów: „bystrieje, bystrieje”.



Postój „taksówek”

Tak, tu funkcjonuje „umiejętność wsiadania i wysiadania pod presją czasu”, w innej dziedzinie życia Mołdawian, zwłaszcza w pracy, trudno się dopatrzeć jakichkolwiek działań, które muszą być wykonane sprawnie. A tu proszę, wsiadanie do marszrutki i wysiadanie z niej jest wyćwiczone.

Przez przyciemnione szyby, o które opierane są ciągle kolejne ręce, migają uliczki, zaułki, takie same bloki, podobne domki. Żaden z mijanych rejonów nie przypomina mojego. I nagle znowu znajduję się w punkcie wyjścia. Ładna mi przesiadka!

Podchodzę do kierowcy z mapą i pokazuję paluchem, gdzie chcę wysiąść, czyli przy krzyżówce Șose Hincești, przy pomniku Sorok Liet. Twierdzi, że tą trasą właśnie jechał. Hm. Niby proste, niby blisko centrum, ale coś poszło nie tak.

Marszrutka znowu napełniła się ludźmi i znowu zaczyna gnać z szybkością rosyjskiej rakiety. Jakieś *dějà vu*.

Na wszelki wypadek pokazuję mapę mojej sąsiadce, dla pewności, że jak nie kierowca, od którego jestem odgradzona kordonem pasażerów i który już pewnie dawno o mnie zapomniał, to ona, dobra kobieta powie mi, kiedy poderwać się do wysiadki. Paru pasażerów stojących niedaleko ze zdziwieniem popatrzyło na mnie i na mapę. Pewnie żaden z nich nigdy by nie wpadł na taki głupi pomysł, jak zakup mapy w mieście, gdzie nie ma żadnych oznaczeń. Tu trzeba się urodzić, żeby wiedzieć, jakie są reguły, a nie bawić się w turystę!

Uciekam wzrokiem do kawałka zaciemnionej szyby i nagle krzyk kierowcy: „Cin Cin!!! Dziewuszka Cin Cin!!!”. Ostro hamuje i nagle pół busa wtóruje głośno: „Dziewuszka Cin Cin!!! Dziewuszka Cin Cin!!!”. Wszyscy gapią się na mnie i przyciskając się do szyb i tuląc do siedzeń, torują mi drogę do drzwi. Nie wiem, o co chodzi, ale nie pozostaje mi nic innego, jak wysiąść. Mówię kierowcy: „dziękuję”, choć jeszcze nie wiem, za co, i „do widzenia”, tu akurat wiem dlaczego, bo sekundę po tym jak zamknę za sobą drzwi marszrutka będzie gnać dalej. Wychodzę, wreszcie coś widzę i nie dowierzam... Znajomy sklep, pomnik, bloki. Chcę podziękować, zapytać co z tym „Cin Cin”, ale po marszrutce ani śladu.

Wieczorem opowiadałam historię jazdy. Adrian zaśmiewa się do łez. Spokojnie, w pełnej powadze czekam, aż przestanie ryczeć ze śmiechu i wytłumaczy mi, o co chodzi z tym „Cin Cin”. Co próbuje to zrobić, to znowu pęka ze śmiechu. Ha, ha, haaa!

Okazuje się, że tuż za miejscem, gdzie wysiadłam, za spożywczym, jest mała speluna żulerska i wołają na nią „Cin Cin”. Dla tutejszych to legenda. Dla obcych – wino

Kup książkę

Poleć książkę

musujące. Dla kierowcy i pasażerów – nazwa przystanku. Adrian i reszta byli dumni ze swoich krajan, że tak finezyjnie ponazywali przystanki.

Ni stąd, ni zowąd zaczynamy rozmowę o mołdawskiej nauce, która ni mniej, ni więcej: leży i kwiczy.

– Czy Gagauzi dorobili się jakichś naukowców? – pytam, żeby już przestali się cieszyć z „Cin Cin”.

Pogorszyłam sytuację. Towarzystwo dusi się ze śmiechu. Ich twarze mówią jedno: też sobie wymyśliłam temat rozmowy! Ja jednak idę w zaparte.

– No bo na przykład... – zaczynam opowiadać – Rosjanie mają naukowców.

– ...hm... zaskakujące – stwierdził Adrian, i dalej trzyma się za brzuch.

– No więc, rosyjscy naukowcy po wielu latach badań ustalili, że gdyby całą wodę ze wszystkich oceanów, mórz, jezior, rzek, stawów, strumyków i wodę zawartą w atmosferze wpuścić do rurki o średnicy 1 cm, to rurka musiałaby mieć taką długość, że... że – rzekłam. – Wiecie jak długa by była?

– No bardzo – ktoś mówi.

– Ale jak bardzo?

– Nieee wieeeem!

– Byłaby tak długa, że ja pierdołę!

Najpierw wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy, a potem gruchnęli śmiechem.

– Rosyjscy naukowcy eksperymentowali też na muchach – mówię.

– Ha, ha, haaa – rozchodzi się.

– A mianowicie: jeden pionier wziął muchę, oderwał skrzydełka, położył na stole i rzekł doń: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał jej jedną nóżkę, powiedział: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał drugą, powtórzył: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał trzecią – mucha poszła, czwartą – mucha poszła, piątą – mucha, ledwo, ale skik, skik, ruszyła. W końcu naukowiec oderwał ostatnią nóżkę, powiedział: „much, idzi”, ale mucha się nie rusza, powtórzył: „much, idzi”. Mucha się nie rusza. Naukowiec patrzy na nią, wyciąga kajet i notuje: „po oderwaniu ostatniej nogi mucha ogłuchła”.



GREEN HILLS



Wpadam do Wolewiczów, na kanapie, tam gdzie zwykle, kładę kurtkę. Nagle zawracam się, bo uświadomiłam sobie, że coś mignęło mi przed oczami. Aż mi się gęba uśmiechnęła. Ha! Na łóżku leżały, nie co innego jak... kurki do gazu.

Pan Sławek siedział przy swoim laptopie i grał, ale widziałam, że się uśmiecha, kątem oka widząc, że dojrzałem jego podarek.

Tak, już wszystko było wiadomo! Przy mojej kuchence były same nagie, metalowe rurki czekające na kurki, a był tylko ten jeden, co odpadał. A odpadał, bo się przekładało go w zależności od tego, przy którym palniku chciało się odkręcić gaz. Był po prostu regularnie używany, a nie zepsuty. Ale ja, wygodna, przyjechałam tutaj i nie zrozumiałam istoty tutejszych kuchenek!

I znowu jedzenie, czy przyjdę o 17.00 czy o 19.00, czy 21.00, ciągle trafiam na kolację. Nie to, żebym nie lubiła jeść, ale jakieś przerwy by się przydały. Dostałam kartofle, torszu – specjalnie marynowane warzywa z dużą ilością octu, kotleta, koniak i pytanie od Pana Sławka:

– A kurisz ty Judyta?

– Nie

– Nie?! Z Polski i nie kurisz?!

– No bo ja taka Polka.

Po kolacji ruszyliśmy na zakupy, bo Luda opierniczyła Pana Sławka, że wypił jej całą wodę mineralną. Należało uzupełnić braki. Przy okazji i ja miałam zajrzeć do tutejszego marketu.



Kup książkę

Poleć książkę

– Chodź, pokażę ci Green Hillsa – rzekł Pan Sławek.

Było już dawno po 21.00, więc byłam w niemałym szoku, że o tej godzinie jest tu coś otwarte.

– Jak w Warszawie! – powiedział Pan Sławek, wyrывая mnie z zamyślenia.

– Niesamowite! – niemal krzyknęłam.

Do marketu było góra pół kilometra. Był widoczny z daleka. Sporej wielkości Green Hills z powiewającymi niczym flagi emblematami wyglądał jak oaza na pustyni pozamykanych już pozostałych alimentariów. Jest na tyle ważny, że nawet na mapie, którą wręczył mi Wasia, gdzie były cztery zdjęcia najważniejszych obiektów: cerkwi, Urzędu Miasta, Uniwersytetu, było też zdjęcie z pierwszej rocznicy otwarcia Green Hillsa! I – co nie bez znaczenia – jako jedno z niewielu miejsc w tej miejscinie był dobrze oświetlony. To było coś! W świetle ciemności wielki „wow”. Jak zaczarowana weszłam do środka.

– Dlaczego Pan Sławek nie wchodzi? – zdziwiona zapytałam Pana Sławka, który zatrzymał się przed drzwiami.

– Bo jestem w dresie – odpowiedział.

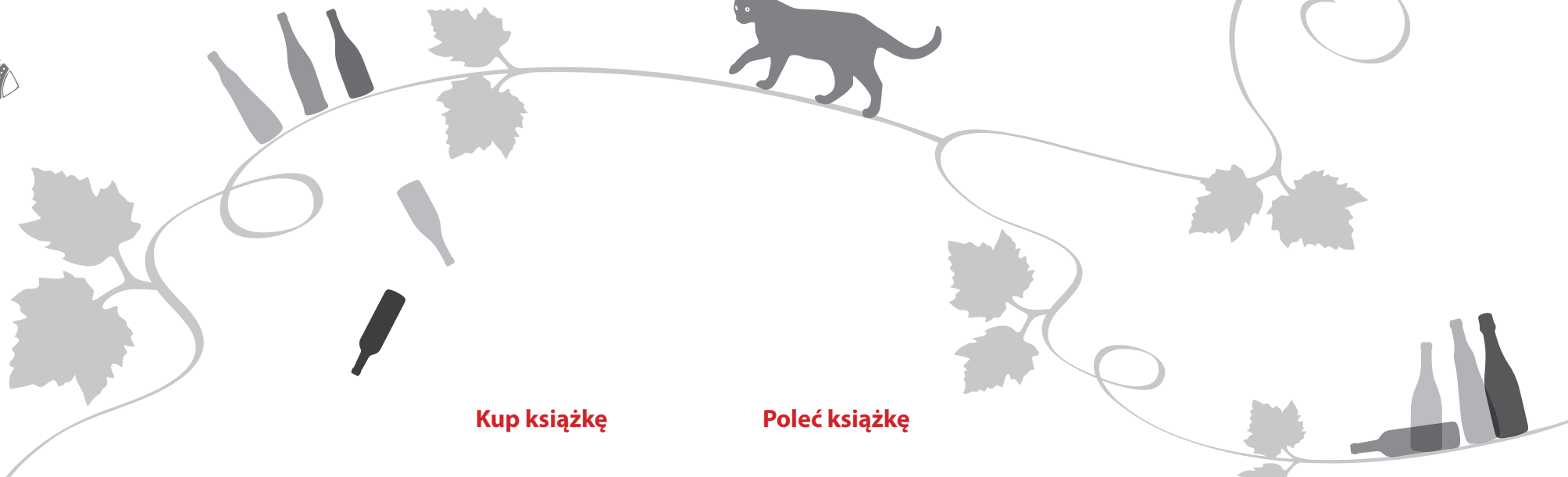
Trochę mnie tym wyznaniem zdziwił, bo tutaj ledwie przestąpi się próg domu, wszyscy zarzucają na siebie luźny dresik. A fizyczni noszą go cały czas. Hm. Jednak Pan Sławek, pracownik Urzędu Gagauzji, na co dzień

w spodniach w kant, miał swoje zasady: „w miejscach publicznych w dresach się nie pokazuję!”.

Sam Green Hills to taka drobinka Zachodu, duży, dobrze wyposażony market. Pełne towaru półki, kolorowo, z gustem. I odkrycie. Pyszne batoniki z bryndzy, z marmoladą albo galaretką w środku. Słodka, dobrze przemiałona, aksamitna bryndza z lekko kwaskowatą masą w czekoladowej glazurze, rozkosz dla podniebienia. Soki w kartonie były od 10 lei w górę. Średnia cena to około 20 lei, czyli dość drogo. Cena była zagraniczna, bo i soki były zza granicy, więc doszły kolejne marże. Jednak na sąsiedniej półce były pokusy w postaci mołdawskich win w zbliżonej cenie, i to całkiem przyzwoitych: bogactwo Chardonnay, wytrawne Aligoté czy ciemny, gęsty Malec z piwnic Cricovej w gustownie opakowanych butelkach z pieczęcią. Ot, szczęście za 20 parę lei.

Koszmarne drogie jak na tutejsze zarobki były wędliny i mięso. Droższe niż u nas, a wybór i jakość nikła. Importowane, nafaszerowane chemikaliami. Za to krewetki tanie jak barszcz. I pyszna chałwa, 20 lei za kilogram!

Kupiłam kilogram mączki kukurydzianej, by przyrządzać mamałygę. Wtedy byłam święcie przekonana, że będzie mi długo i smacznie służyć. No i wzięłam w imieniu stojącego przed Green Hillsem Pana Sławka butelkę średniogazowanej wody mineralnej dla Ludy. Tak, bo tutaj od lat jest wybór przy każdej marce: gazowana, średniogazowana i niegazowana.



Kup książkę

Poleć książkę



LUDA, PAN SŁAWEK I POLACY W GAGAUZJI

Najpierw była pani Ludmiła i Pan Sławek. Małżeństwo. On pracuje w Urzędzie Gagauzji, w dziale rolnictwa. Jest urzędnikiem. Ona handluje na targu dziecięcymi ubrankami, jest prezesem Stowarzyszenia Polaków Gagauzji, zna rosyjski, gagauski, turecki i polski. I dobrze gotuje. Ona ma matkę Gagauzkę i ojca Polaka, on jakies tam korzenie polskie. Oboje rocznik '61. Ona z lipca, on z listopada. On z Jałty, ona z Komratu. Poznali się we Lwowie, gdzie razem studiowali *ziemiestrojstwo*. – Po angielski land management – tłumaczy Pan Sławek.

– Przyszędł i nie mógł się odczepić – mówi Luda.

Luda mówi, że bardzo ją denerwował, nie chciała go, ale on przychodził, przychodził i przychodził, aż w końcu zamieszkali razem. To był drugi rok studiów, a może jeszcze pierwszy, taki szybki był Pan Sławek w dochodzeniu.

– Kłóciliśmy się po kilka razy dziennie. Dziwne, że nie doszło do rozwodu – mówi Luda i patrzy na mnie. – Żle tak wczesnie wychodzić za męża, prawda?

– Nie mam pojęcia Luda, ani wcześniej, ani później, nie wychodziłam.

No, a potem była mała Marina, Siergiej i wnuk Edik. No i wszyscy są do dziś. Kiedy i jakim sposobem Władysław Wolewicz stał się Panem Sławkiem, to wie chyba tylko Luda.

Pan Sławek i pani Ludmiła to dwie skrajności. Ona gruba, on chudy, ona blondynka, on ciemny, ona chodzi powoli, bo pokaźne uda ocierają się o siebie, on ma nogi smukłe i długie. Przebiera nimi jak motorek. Fertyczny Pan Sławek.

On wysoki jak brzoza, ona nieduża wzrostem, ale duża wagą, jest jak dąb. To ona zarządza domem i domowym budżetem. On więcej pracuje w urzędzie, ona

sprząta, pierze, on przynosi co miesiąc 2000 lei, kładzie na stół. I nawet nie wie, ile z nich na co idzie i czy to wystarczy.

On lubi chodzić po domu w połyskującym dresie, ona w szlafroku w panterkę. Pan Sławek ponad życie kocha swoją żonę. Ona go też. Ich córka Marina taką miłością obdarza ojca.

– Jak na lekcji zapytali Marinę, bo akurat był dzień matki, kto jest najukochańszą osobą dla ciebie, to wszystkie dzieci odpowiedziały „mama”, a ona „papa!” – mówi Luda.

Razem prowadzą założone w 2004 roku Stowarzyszenie Polaków Gagauzji. Wtedy zarejestrowało się zaledwie kilka rodzin, teraz jest ponad 200 osób. Czy to odkryta polskość, czy nieodkryte jeszcze płynące z tego profity? Luda szacuje, że co szósta osoba w Komracie ma polskie korzenie, tyle że proces rusyfikacji poszedł tak daleko, że już o nich zapomnieli. Pierwsi Polacy, którzy mieli pojawić się na mołdawskich terenach, to około 3 tys. żołnierzy, którzy ostali się na początku XVIII wieku po Wielkiej Wojnie Północnej. Już w drugiej połowie tego samego wieku dołączyło do nich ok. 3,5 tys. konfederatów barskich. Część z nich pojęła tutejsze kobiety za żony. Kolejni przybywający wtapiali się w mołdawski i gagauski etnos. Teraz polskojęzyczne nazwiska można odszukać na nagrobkach, w archiwach i opowieściach. Mołdawscy Polacy deklarują się jako Mołdawianie, Ukraińcy lub... Bułgarzy.

Dwa razy w miesiącu do Komratu wpada ks. Stanisław Kucharek, Polak pochodzący z rumuńskiej Bukowiny i odprawia dla rodaków mszę. Zwykle odbywa się w wynajętych pomieszczeniach albo choćby u Wolewiczów.

Przez trzy lata rząd Polski przysłał do Komratu nauczycielki, żeby uczyły tutejszych języka przodków. W tym roku nie przysłał, bo kryzys. Mieszkanie, które wynajęłam na



Luda i Edik

Kup książkę

Poleć książkę

Sportivnej, zamieszkiwały wcześniej one. Pod moim adresem było też zarejestrowane Stowarzyszenie Polaków Gagauzji.

– Ludzie mnie się pytali, czy ja się nie boję, że on tam w domu sam, że zdradzi. Ale spójrz na niego – popatrzyłam – czego ja się mam bać, jak on siedzi cały czas w domu i gra – mówi Luda, która kilka lat pracowała w Turcji.

– Jak wróciła, to już mówiła z tureckim akcentem – odezwał się Pan Sławek, jak zawsze hołubiący Ludę.

Jako że był jak zawsze przy komputerze, nawet nie oderwał się od niego. Grał akurat z 16-latkami.

– Tak, to jego poziom! – podsumowała Luda.

Jak już wspominałam, Pan Sławek bardzo lubi spędzać każdą wolną chwilę przy komputerze. Gra, po prostu gra! Wraca z pracy, siada do komputera i tak aż do pójścia spać. Gdy Luda wzywa go (a ta kobieta nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać!), żeby jej pomógł, na przykład przy wypełnianiu dokumentów, Pan Sławek musi się oderwać od gry – to jedyne chwile, kiedy jest zły. Taka utajona furia. Mimo złości, wstaje od komputera i idzie pomóc Ludzie.

Jedynie gdy zbliża się bitwa, wtedy od komputera nikt ani nic go nie odciągnie. Emocje aż kipią i lepiej się nie odzywać do Pana Sławka. Jest w swoim świecie. Wirtualnym. W głowie ma całą strategię. I jest jeszcze coś.

– Halo! Halo! Chłopaki już gotowi? Tu José, możemy zaczynać – mówi Pan Sławek do komputera. – Tak, wczoraj było opóźnienie, ale dziś już ruszamy, chłopaki...

– Prawie jak Zapatero – rzuciłam, dusząc się ze śmiechu.

Ludzie niemal chochla wypadła z ręki. Tak, tak, Pan Sławek ma w wirtualnym świecie ksywę... José.

Odkąd nam to nieopatrznie wyjawiał, Luda woła do niego: „Chodź José, obiad gotowy!”, „Chodź José, musimy przesunąć fotel!”, „Hej José, jak tam dzisiaj było w rządzie?!”, „O, José dziś nie gra, chce porozmawiać z nami?”.



BUDŹAK



W sobotę, niedzielę i poniedziałek Marina prowadzi z dziećmi polskie tańce. Marina to córka Ludy i Pana Sławka, studiowała w Lublinie, tam uczyła się też polskich tańców.

Zespół nazywa się „Polacy Budzaka”. Jak wygląda nauka tańca, pewnie każdy po trosze się orientuje. Ciekawe było to, że młoda mama Marina prowadziła lekcje tańca, wydawała instrukcje i pokazywała kroki, jednocześnie bujając na rękach małego Edika, który wybałuszonymi oczyma oglądał towarzystwo.

Dzieci były przyzwyczajone do takich widoków, bardziej zainteresowałam ich ja, najpierw mi się przyglądały, coś szeptały między sobą i...

– Będzie pani z nami tańczyła? – zapytała nagle Julia.

– Nie przewiduję – odpowiedziałam.

– Nieee?!?! – zdziwiła się Julia i dodała: – Jaka szkoda. Bo poprzednia nauczycielka tańczyła z nami.

Kolejne dzieci zaczęły wręcz prosić.

Tak, gagauskie dzieci wywijały polskie tańce: sądeckiego, poloneza, kujawiaki, oberki, z zaciekawieniem spozierając na mnie. Nie wiedziałam, o co im chodzi. Taka ze mnie tancerka staropolskich tańców, jak i nauczycielka. Nie! Nie! Neeee! Drogie gagauskie dzieci, pani Sierakowska tańczyć nie będzie!

– Jak dzieci występowały w Zielonej Górze, to wszyscy się pytali, a skąd nazwa, dlaczego „Polacy Budzaka” – oburza się Luda. – No jak to dlaczego?!

Oburzenie Ludy wynikało stąd, że tu, w Gagauzji nazwy „Budżak” używa się bardzo często i chętnie. Budżak (in. Budziak, gag. Bucak, rum. Bugeac) jest krainą

Kup książkę

Poleć książkę

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
Helion SA

Mołdawianie w kosmos NIE LIETAJUT BIEZ wina to książka o Gagauzji, najbiedniejszym zakątku najbiedniejszego kraju w Europie. O absurdalnej krainie, o biedzie, o Polakach tam, o wyborach prezydenta. Taki postsowiecki grajdoł.

Jest i historia Gagauzów, są ciekawostki, zwyczaje, przejazdy marszrutkami, opowieści łapówkarskie. Jest też o Naddniestrzu – niewielka Republika Mołdawii to kraj nie tylko podzielony etnicznie, ale i mieszczący w sobie dwa odrębne „państwa” — Naddniestrze i Gagauzję, każde z własnym rządem. Jedna czwarta mieszkańców Mołdawii przebywa za granicą, zarabiając na rodzinę w kraju. To miejsce, gdzie duża część ludności nie zna języka kraju, w którym żyje, a dzieci uczą się w szkole po rosyjsku. Kraina pełna niedorzeczności.

Przede wszystkim jednak to książka o chlaniu wina (bo to już nie picie!). Tam każdy to robi, w końcu dziesiątą część kraju zajmują winnice, a w październiku obchodzi się Narodowe Święto Wina.

Patroni medialni:



Globtroter.pl

peron4.pl

Nr katalogowy: 15485



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

B Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-246-8514-1



9 788324 685141

